

## **Jan Musiał, senator pierwszej kadencji**

### **Zacznijmy od tego, co Pana doprowadziło do Senatu w 1989 roku, co Pana ukształtowało, co Pan robił w PRL-u.**

Byłem absolwentem Uniwersytetu Jagiellońskiego, polonistyki tamtejszej, i po kilku latach także podyplomowego Studium Dziennikarstwa. Pracowałem najpierw po studiach, skończyłem je w 1972 roku, jako nauczyciel w szkole wiejskiej pod Czułowem. Potem, wżeniwszy się tu w Przemyśl, dostałem pracę w dzienniku, innych niż PZPR-owskie wtedy nie było, „Nowiny rzeszowskie”. I jako dziennikarz w roku 1980 roku wstąpiłem w krąg tych przygotowujących wystąpienia, które dały początek „Solidarności” robotników. Byłem dziennikarzem działu ekonomicznego, więc miałem styczność z robotnikami, inżynierami, szczególnie tego wiodącego w Rzeszowie zakładu przemysłowego czyli Wytwórni Sprzętu Komunikacyjnego, dawnej wytwórni lotniczej.

### **Co Pana do tego skłoniło, dlaczego Pan to zrobił?**

To chyba oczywiste. Napatrzyłem się na tyle draństwa, bezsensownych decyzji, więc człowiek szukał sposobów, żeby to chociażby wyrazić. I kiedy ci robotnicy zaczęli się buntować, akurat nie oni tylko inżynierowie z tej wytwórni, zaproponowali mi posadę. Jeszcze nie posadę, rolę niejako rzecznika prasowego, więc już w sierpniu 1980 roku zacząłem się tam pojawiać w wytwórni. Najpierw na rozmowach z tym zawiązywanym Komitetem Strajkowym, potem już na rozmowach między tym komitetem a kierownictwem tej wytwórni. No a potem, ostatnie dni, zaczął się strajk. Zajęliśmy siedzibę Wojewódzkiej Rady Związków Zawodowych. Dołączyli do nas rolnicy i zaczął się strajk, który trwał prawie dwa miesiące, bo do 19 lutego 1981 roku. Już praktycznie w tych „Nowinach” nie pracowałem, ale jak strajk dobiegł końca, byłem tam 24 godziny na dobę. Wydawałem codzienny biuletyn „Trwamy”. Jak strajk dobiegł końca, wymówiłem posadę w gazecie i dostałem posadę w „Solidarności” jako redaktor redakcji wydawnictw MKZ rzeszowskiego.

### **A potem?**

Żeby nie wyglądało to na działanie jakoś koniunkturalne, związane z dojrzewającą już rewoltą społeczną. Może tylko jeszcze wspomnę o tym, że jeszcze jako student w 1970 roku, miałem epizod buntowniczy. Współorganizowałem manifestację na rynku krakowskim 16 grudnia, po masakrze gdańskiej, i trafiłem na Montelupich', no groziło nam, było nas trzech, ale jeden z nas był kapusiem.

### **No w Krakowie to było tak trójkami.**

Tak. Byli ze mną, mieszkali zresztą w tym samym pokoju w Żaczku. Stasiu Romankiewicz, wtedy matematyk, dzisiaj rolnik, Andrzej Marchewka, wtedy prawnik, dzisiaj jazzman znakomity, no to on właśnie był tajnym współpracownikiem SB o pseudonimie „As”. Zwolniono nas w przeddzień Wigilii, czyli 22. Potem, po latach się dowiedziałem od mecenasa Rozmarynowicza, jak się spotkaliśmy w Senacie właśnie, że w Komitecie Centralnym zapadła decyzja, wydano tajny jakiś okólnik, żeby studentów nie mieszać do wydarzeń grudniowych, żeby ich z tego wykluczyć. Więc państwu przekazywałem ten dokument stwierdzający, że powodem aresztowania jest znaczna szkodliwość społeczna, natomiast na nakazie zwolnienia - za znikomą szkodliwość społeczną, a oba dokumenty dzieli pięć dni. Takie były moje początki, że tak powiem, które mnie okoniem do rzeczywistości ustawiły. Jak się pojawiła szansa na jakąś zmianę, z tą dojrzewającą wtedy „Solidarnością”, to przystałem do niej i już z nią, że tak powiem, szedłem dalej, aż doszedłem do roku 1989 roku, do wyborów. Moją kandydaturę wysunął przemyski Komitet Obywatelski. Wcześniej organizowałem dla robotników przemyskiej „Solidarności” wykłady,

a właściwie już szkolenia z prawa pracy. Zapraszałem tutaj między innymi Bratkowskiego, Malanowskiego.

### **Jak Pan przyjął tę propozycję, żeby kandydować do Senatu?**

Specjalnie się przed tym nie broniłem ani też o to nie zabiegałem. Moją kandydaturę zgłoszono wśród innych kandydatur. To poza mną zdecydowano, że to na mnie postawi komitet. Weszliśmy wtedy z tego terenu we trzech. Rolnik z Tuczęb Tadeusz Telka wszedł do Sejmu razem z Onyszkiewiczem. Ponieważ Jarosław tutaj wtedy przyjechał, a ja z profesorem Ulmą z Jarosławia do Senatu. Z Ulmą, fizykiem, z którym jeszcze był historyk Jan Draus. We trójkę lataliśmy jako taki mini uniwersytet latający po duszpasterstwach rolniczych tej diecezji. Draus wypełniał białe plamy historyczne literackie, a Ulma przestrzegał chłopów przed scjentyzmem

### **W jakich latach działał ten uniwersytet?**

W latach 1984-1989, właściwie do samego końca.

### **A nie żałował Pan, że to nie Sejm, a Senat?**

Przyznam się, że nie miałem takich dylematów. Specjalnie nawet w kontekście pani pytania, nawet nie rozważałem tego. No jest to służba publiczna na eksponowanym stanowisku, czy to poselskim, czy senatorskim, było to dla nas nie tak bardzo rozróżnialne. Musi pani wiedzieć, że większość z nas, no może poza kandydatem Komitetu Obywatelskiego warszawskiego, była ludźmi nieprzygotowanymi do tych ról, do ról parlamentarnych, poza tym, że miała jakieś tam zasługi. Byliśmy ludźmi z charakterem, z poczuciem misji. No i z doświadczeniem w działalności społecznej. No i wydawałoby się pani, że to wystarczy, ale to mało. Trzeba znajomości prawa, szczególnych jego dziedzin. Zdobywało się to doświadczenie w dość przyspieszonym tempie już w praktyce działania parlamentarnego,

### **Pamięta Pan kampanię wyborczą?**

Tak.

### **Co tutaj się działo w czasie kampanii, co Państwo robili, jakie były nastroje?**

No euforyczne, euforyczne. No przecież<sup>^</sup> Boże, jak się zwie, uciekła mi nazwa tej wsi pod Jarosławiem, zaraz sobie przypomnę, przepraszam. Pojechaliśmy tam na spotkanie przedwyborcze we czterech. Czekwały na nas takie dwie bryczki, każda w dwa konie zaprzęzona i przejechaliśmy przez całą wieś w tych bryczkach na stadion miejski i ten obrazek, że tak powiem, niech pani sobie zilustruje. I generalnie nastawienie ludzi do nas, do tej solidarnościowej ekipy, no poselskiej i senackiej pospołu.

### **O czym się mówiło na tych wiecach, na stadionach?**

Bardziej się mówiło. Była to argumentacja w rozmowach z ludźmi bardziej defensywna niż ofensywna, czyli mówiło się, że nareszcie ta komuna odejdzie, że się nareszcie to bezhołowie skończy, że jak uczciwi ludzie zdobędą inicjatywę ustawodawczą i rządową, to się zrobi lepiej. Oczywiście, naiwne było to sądzenie, bo przecież dziś wiemy, że to nie Balcerowicz ani jego następcy, ani Bielecki, ani późniejsi przeprowadzili największe zmiany prokapitalistyczne, tylko Wilczek, tylko Messner. Wilczka reforma była tą prawdziwą reformą kapitalistyczną. Oczywiście, była robiona tam jakoś, w spadku pozostawiona w interesie dotychczasowego establishmentu.

I właśnie na przełomie 1988 i 1989 roku gwałtownie uwłaszczał. Później miałem doświadczenie, które pozwoliło mi sam ten mechanizm zgłębić. Mianowicie zgłosiłem się do Nadzwyczajnej Komisji Sejmowo-Senackiej, której celem było przygotowanie ustawy o

Prokuratorii Generalnej. Prokuratoria Generalna to urząd, który wbrew nazwie ma się kojarzyć nie z prokuraturą, ale ze Skarbem Państwa. Instytucja przed wojną już, przed drugą wojną światową w II Rzeczpospolitej funkcjonująca, która Ministerstwo Skarbu Państwa miała w pieczy i pilnowała, by z tym mieniem uczciwie postępować. Profesor Łączkowski, Paweł Łączkowski, który został przewodniczącym tej komisji, przyjął ten obowiązek, żeby odnowić tą instytucję przez tą ustawę. No ale się okazało, że ustawa nie ma szans i przepadła. I przepadłaby nawet wtedy, gdyby kadencja trwała dłużej, ponieważ jawnie wchodziła w drogę dokonującej się transformacji własnościowej, a ta właśnie w dużo dłuższej perspektywie, jest dużo ważniejsza, niż polityczne nawet najbardziej polityczne nośne, widowiskowe gesty.

**W 1989 roku w czasie tej kampanii ludzie przyjmowali was z nadzieją, czy raczej z nieufnością?**

Z nadzieją. Tak się tutaj u nas, przynajmniej w naszym przypadku Ulmy, Klelki, i Trelki, i moim działem, żeśmy byli ludźmi, których nasi przyszli wyborcy poznali już wcześniej. Z takich prelekcji Uniwersytetu Łatającego, z wydawnictw różnych, no z tego klucza, o którym się jednak wiedziało. Pewnie SB miałyby ich dokładniejszą analizę, dokładniejszą niż my sami o sobie. I społecznie ta wiedza była na tyle powszechna, żeby przyjmować nas już przynajmniej moralnie, etycznie przygotowanych do podjęcia tego z nadzieją, ufnością.

Później co się okazało? Że nasze dobre chęci niczego efektywnego nie przynoszą, że po prostu bijemy głową o ścianę i nie jesteśmy w stanie wiele zrobić.

I ja to mogę powiedzieć jeszcze mocniej, bo równoległe z funkcją parlamentarną pełniłem funkcję wojewody przemyskiego i biłem głową o mur w niemożności, gdy padały dobre, stare zakłady takie jak na przykład taka Pomuna przemyska, Zakład Przetwórstwa Owocowego, dobry zakład z różnymi dobrymi różnymi słodkościami *specialite de la maison* specjalizujący się w nalewkach różnych alkoholowych. Padło, bo uważano, że należy to rozparcelować między tych, którym ma się to należeć, a ja jako urzędnik państwowy mogłem się tylko temu biernie bezsilnie przyglądać.

**Z tego, co Pan mówi, to wiele uwagi poświęca Pan sprawom ekonomicznym. Skąd u humanisty taka wrażliwość na sprawy gospodarcze?**

Już mówiłem państwu o tych „Nowinach Rzeszowskich”, pracowałem tam już od 1973 do 1980 roku, czyli siedem lat. Właściwie to od 1974, bo w grudniu 1973 roku przyszedłem tam do pracy, no i byłem dziennikarzem działu ekonomicznego i z konieczności nabyłem trochę wiedzy, może nawet cenniejszej niż akademicka, bo praktycznej, obracając się w praktycznych rejonach ekonomii, no i widziałem i mogłem wyciągnąć wnioski, które nie przechodziły przez gardło ekonomistom.

**Sądzi Pan, że to się Panu przydało podczas sprawowania mandatu parlamentarnego?**

Z pewnością. Nie były dla mnie czarną magią pojęcia ekonomiczne, a ustawy te sejmowe, które potem Senat recenzował, nanosił jakieś poprawki, w większości zresztą odrzucane przez Sejm i te inicjatywy ustawodawcze Senatu były w znacznej części czy dotyczyły znacznej części ekonomii, narodowej ekonomii państwowej.

**Wybory 4 czerwca to wielki sukces. Jak Pan przyjął wynik tych wyborów?**

Euforycznie to przyjęliśmy, bośmy pokonali komunistów zdecydowanie.

**Zaskoczenie, że aż tak duże zwycięstwo?**

Tak, może i zaskoczenie troszkę, może i zaskoczenie, że tak duże zwycięstwo. Dziś na to patrzę już z dystansem, bo o wiele boleśniejszym zaskoczeniem były późniejsze wyniki, w których nas skreślono, bośmy się okazali nie dość efektywni. I to w kolejnych wyborach.

**Jechał Pan do Warszawy z nadzieją czy ze strachem? To jest rok 1989. Wojska sowieckie są w Polsce. Wszyscy mają w pamięci stan wojenny. Festiwal Solidarności, który skończył stan wojenny. Nie obawiał się Pan, że tym razem też wrócą represje?**

Nie, obawy nie było. Przez te kilka lat, mówię o latach 80., człowiek doświadczył tyle, że strachy, o których pani mówi, oswoił. Warszawa nie była dla mnie jakąś ziemią nieznaną. Ja utrzymywałem kontakt właśnie z Bartkowskim. Byłem jednym z delegatów na ten odnowiony zjazd. Zjazd odnowionego Stowarzyszenia Dziennikarzy Polskich z Małanowskim, ze środowiskiem Siły-Nowickiego. Jego żona Roma miała tutaj jakieś korzenie przemyskie, więc jechałem do Warszawy bez kompleksów, no a strach maleńki. No po to kiedyś się zdecydowałem na ten krok w grudniu 1970 roku potem na przystanie do „Solidarności”, żeby wbrew robić tym przemożnym i zdawałoby się, nie do pokonania siłom. Tym bardziej to odczuwałem wtedy.

**Jakie były Pana oczekiwania związane z pracą Senatu?**

Wiedza, jaką miałem wówczas o funkcjonowaniu państwa, nie była zbyt głęboka, płytka była, ale wystarczająco dużo na przykład wiedziałem o amerykańskim systemie władzy. O tej równowadze władzy ustawodawczej, wykonawczej i sądowniczej, żeby się czegoś podobnego domagać, oczekiwać, spodziewać w Polsce. Było to założenie dość naiwne, zważywszy na to, że nie mieliśmy wielu ludzi z doświadczeniem parlamentarnym, którzy nie byli uwikłani we współpracę z komunistami. W ogóle nie mieliśmy ludzi z doświadczeniem ani w administracji państwowej i w sądownictwie, którzy nie byliby uwikłani we współpracę z komunistami. Ale nie tylko ja ten błąd naiwności popełniłem, bo przecież po latach przyznał się do naiwności Adam Strzembosz, w końcu Prezes Sądu Najwyższego, który przyjął założenie, że się samo środowisko oczyści. No to było naiwne założenie, bardzo szybko się to okazało.

**To był bardzo gorący historyczny okres. Zaraz po wyborach czerwcowych Wojciech Jaruzelski został prezydentem. Pamięta Pan, jak to było?**

Pamiętam, byłem zdecydowanie przeciwny tej kandydaturze. Zdając sobie sprawę z tego, że utracenie Jaruzelskiego stwarza sytuację, która może być nie do opanowania. No, ale po to się zaczynało te zmiany, żeby ich w pół drogi nie zatrzymywać, a dla mnie postawienie na Jaruzelskiego było zatrzymaniem się w pół drogi. Nie rozumiałem wtedy ludzi, których do tej pory uważałem za swoich idoli politycznych, jak na przykład profesor Stelmachowski. On to tu zresztą jeździł w przemyskie do rolników do zawiązującej się „Solidarności” Rolniczej, czy Andrzej Wielowiejski, a oni głosowali przecież za Jaruzelskim. Był to jeden z takich pierwszych zimnych pryszników, których się potem namnożyło.

**A te kolejne zimne prysznice?**

No różne, ale to może nie do pryszników, ale o materii złanej zimną wodą, miałem jakąś wiedzę. Byłem gorącym zwolennikiem uwłaszczenia się w części środowisk dziennikarskich na rozdawanych wtedy czasopismach. Kolejne rozczarowanie, ponieważ wszystkie znane mi zespoły dziennikarskie tak łatwo wyprzedały swoje udziały, gdy się okazało, że jakiś grosz można to dostać. Bardzo niewielu ludzi z tego środowiska pojęło, czym jest szansa uzyskania wpływu także materialnego na pismo, w którym się pracuje. Ale odbiegłem od tematu.

### **Jaruzelski został prezydentem, ale wkrótce Mazowiecki został premierem. Radość czy zaskoczenie, że się udało?**

Przypominam, że ten wybór preforsowano naprawdę niewielką liczbą głosów. I to głosów ludzi, co do których nie było cienia wątpliwości, że prą do zmian, jak Stelmachowski, czy Wielowieyski. Już wtedy zaczęliśmy sobie zdawać sprawę, że układ okrągłostołowy jest układem koniunkturalistów. Z pewnością nie jest układem, który może szarżować, chwalić się przed ludźmi, raczej jest skrywany przed nimi. Jest układem, który może rodzić nowe patologie. Ta świadomość towarzyszyła także awansowi Mazowieckiego. Tym bardziej że, przynajmniej ja tego doświadczyłem, natychmiast bez mała powołany przez niego na urząd wojewody też Komitetu Obywatelskiego, wysunął moją kandydaturę. Choć tutaj się trochę broniłem, mówiąc o trudnościach w godzeniu funkcji parlamentarnej i wykonawczej, ponieważ pierwszym ministrem, z którym miałem do czynienia był Dankowski, wiceminister u boku Krzysztofa Kozłowskiego. No wyjątkowa menda esbecka. Wiązało się to z przekazywaniem majątku po byłej Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Taką ustawę przyjął Sejm, a to była senacka inicjatywa. Myśmy wtedy zajęli „Solidarność”, przemyska, przejęła ten gmach i podziękowała I sekretarzowi informując, że tutaj będzie szkoła, że się tutaj będą nasze dzieci uczyć. No i do dzisiaj tam jest Kolegium Języków Obcych. Nauczycielskie Kolegium Języków Obcych dostało w spadku po Komitecie Wojewódzkim Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej tę siedzibę, zresztą ukradzioną kiedyś zakonowi Bonifratrów. Jakaś tam kwestia z rozliczeniami, czy całość tej posesji, czy tylko budynek Komitetu Wojewódzkiego, ale bez garaży i warsztatów. W każdym razie adresatem było tutaj Ministerstwo Spraw Wewnętrznych. No i jako młody wojewoda musiałem pojechać na rozmowę z wiceministrem, któremu to w jakiejś mierze podlegało, z generałem towarzyszem Dankowskim u boku Krzysztofa Kozłowskiego. No dla pani to może nie znaczy tyle co dla mnie „Mrożkowski układ”. „Mrożkowski układ” mrożkowski w odniesieniu do poetyki i dramatów Stanisława Mrożka oczywiście.

### **Jak Pan wtedy dzielił czas między obowiązki parlamentarne a zajęcia wojewody?**

No wbrew pozorom nie było to takie trudne. Pomagało oczywiście, budżet województwa, snuło się wtedy wielkie plany. To się w tym urzędzie przemyskim narodził pomysł, no jeśli nie autostrady, to przynajmniej drogi szybkiego ruchu Bałtyk-Adriatyk, czyli Estonia, Łotwa, Litwa, Polska, Słowacja, Węgry, Jugosławia jeszcze wtedy. No może jeszcze dzisiaj wróci ten pomysł szlaków pilniejszych dla Europy Zachodniej, czyli zachód-wschód, otworzy to. I północ-południe znajdzie łaskawsze spojrzenie mocodawców. Miałem dobrego zastępcę wicewojewodę Winiarza, więc dawaliśmy sobie radę. Niedługo, bo tylko niespełna dwa lata byłem wojewodą. Pożegnałem się z tym stanowiskiem administracyjnym, bo zagłosowałem wbrew rządowi. Była wtedy kwestia podstawy naliczenia emerytur i rząd chciał zmniejszyć o kilka procent tę podstawę. Usiadłem z kimś, kto się na tym znał i mi wytłumaczył, że to jest ratowanie budżetu z kieszeni najuboższych i się temu sprzeciwiłem. Zostałem wezwany do szefa Urzędu Rady Ministrów, którym był wtedy niedoszły premier z Krakowa czyli Jan Maria Rokita i zostałem pouczony, że członek administracji państwowej nie może głosować przeciwko rządowi i wręczył mi akt odwołania. Na odchodne pogadałem sobie jeszcze z Łączkowskim. Także specjalnie nie przeżywałem tej rozłąki. Wiedziałem, że muszą jakąś cenę zapłacić. Parlament zresztą nie trwał dłużej, no ale ja jeszcze zdołałem wejść do Senatu drugiej kadencji.

### **A jak Pan z Pańskimi zainteresowaniami ekonomicznymi zareagował na plan Balcerowicza?**

Ja w parlamencie ekonomicznymi sprawami zacząłem się zajmować i wiedzę swoją poszerzać. I jakoś się w tym odnalazłem dopiero wtedy, gdy wszedłem do komisji

Łączkowskiego. To było później, to było chyba w 1990 roku. No więc wcześniej byłem w Komisji Kultury i Komisji Emigracji Polaków za Granicą i tutaj losem tej budzącej się znów diaspory polskiej na Ukrainie szczególnie byłem zainteresowany. Więc trochę jak nie swój traktowałem ten plan balcerowiczowski, ale mając trochę wiedzy o reformie Grabskiego, o tym, jakie on musiał pokonać opory, żeby uzdrowić złotówkę wtedy, w 1924 roku. Wiedziałem, że coś takiego trzeba zrobić, więc specjalnie nie pomstowałem ani wtedy, ani później. Nie dołączałem się do chóru tych, którzy krzyczeli, że Balcerowicz musi odejść.

**Wspomniał Pan już o tym, że wybór Jaruzelskiego na prezydenta był pierwszym zgrzytem. Stosunkowo wcześniej zaczęły się też spory wewnątrz OKP-u. To się skończyło swego rodzaju wojną na górze. Jak pan to wspomina?**

Dość szybko, że tak powiem, zniechęciłem się do elity OKP-owskiej. Elity, która później utworzyła Unię Wolności Demokratycznej. Jak już mówiłem, byłem współzałożycielem Porozumienia Centrum, więc w tej rozpoczynającej się wojnie na górze byłem przeciwko Wałęsie i tym jego z nagłą pozyskanym sojusznikom. Już się wtedy mówiło, że z Wałęsą nie jest tak, jak być powinno. Jednym z tych, których Wałęsa skrzywdził, był Szylar, robotnik tutaj z rzeszowskiego. O Szylarze i o tym, jak się jego sprawy miały, jakąś tam wiedzę mieliśmy. Domyślaliśmy się pewnych rzeczy. W każdym razie kiedy się Wałęsa zaczął wysługiwać Wachowskiemu i otaczać mundurowymi, nie było to dla nas jakimś wielkim zaskoczeniem. Jeszcze nie mieliśmy pewności, jeszcze niektórzy z nas usiłowali to tłumaczyć, że wszedł w nową rolę, że w tej roli musi mieć inne priorytety. Ale już zapał do tego Wałęsy, którego przyjmowaliśmy w styczniu 1981 roku na strajku w siedzibie WRZ-tu rzeszowskiego, już ten zapał minął.

**Jak Pan generalnie wspomina pierwszą kadencję Senatu. Które ustawy, które uważa Pan za najistotniejsze inicjatywy?**

Ani chybi, no nie będę tutaj odkrywca, ustawa samorządowa, niewątpliwie. Reforma samorządowa to było to, co Senat jako inicjatora ustawy zapisał złotymi zgłoskami w najnowszej historii Polski.

Ale mniejsze, symboliczne ustawy, np. zniesienie święta 22 lipca, a przywrócenie 3 maja też miały znaczenie. Wtedy może nawet większe, niż to dziś nam się przypomina i niż to się może nam wydawać. Symbolika grała dużą rolę w tych pierwszych działaniach i odczuciach. Wpływała istotnie na emocje i była to taka troszkę emocjonalna kadencja.

Kiedy się tak dziś patrzy na tych senatorów, to się widzi nieprzeciętne indywidualności. Choć ten nadmiar indywidualności nie sprzyjał pozytywnej pracy, to jednak Senat znaczył wtedy to, co znaczyć powinien, czyli jakąś godność. Później z każdą kadencją takich ludzi ubywało, a przybywało dziwniejszego formatu, nijakich.

**Jak Pan patrzy dzisiaj na pracę pierwszej kadencji, to jest to kadencja spełnionych nadziei?**

Wracam do tej idei fix, która mi nieco górnolotnie towarzyszyła, by się polska rzeczywistość polityczna kształtowała na podobieństwo tej amerykańskiej, w myśl tej zasady równowagi tych trzech urzędów władzy. Ani chybi, ta kadencja zaczęła się z takiego wysokiego „C” i dawała nadzieję. Dawała nadzieję. Myślę, że gdyby ten Sejm i ten Senat pierwszej kadencji przetrwał cztery lata, znacznie szybciej nastąpiłyby pewne zmiany, które potem się latami kisiły, wynaturzały wyradzały itd. Więc dobrze wspominał tamtą kadencję.

**A jakieś rozczarowania czy błędy z tamtego czasu?**

No to już mówiłem o tym swoim naiwnym przywiązaniu, przekonaniu o tym, że uwłaszczenie dziennikarzy przyniesie efekty altruistyczne. Co jeszcze? No to co pani pytała? „Wojna na

górze", te ciemne strony polityki, które się objawiały jako konsekwencje układu okrągłostołowego, jako konsekwencje uzależnienia Wałęsy od: „może pan skierować też kamerę na ten rysunek, bo on mi tutaj towarzyszy od lat" - to dobrze studzi emocje polityczne. Nieskuteczność, dużo dobrych chęci, woli politycznej, by te chęci przeprowadzić. I niemożność, bo już wcześniej pewne, szczególnie w gospodarce, decyzje co do rozwiązań systemowych zapadły. Bo pewne ustalenia okrągłostołowe dopiero po latach wyszły. Więc człowiek był taki troszkę... No ja to chcę zrobić, wiem, że mam poparcie ludzi, a nie mogę i było to dość stresujące.

**Był Pan bardzo zajęty, bo i prace w administracji państwowej i w parlamencie. Miał Pan jeszcze czas na spotkania z wyborcami?**

Niewiele było spotkań z wyborcami i nawet tego żałuję. I zresztą mnie to później wytykano, że zapomniałem o ludziach, że nie znajdowałem czasu, żeby pojechać tam, gdzie w tych latach 80. jeździłem. Chociaż oczywiście czy dyżury w biurze senatorskim i dni przyjmowania stron w Urzędzie Wojewódzkim dawały okazję, żeby z ludźmi rozmawiać. Ale bardzo szybko spotkania te przerodziły się w spotkania właśnie ludzi rozczarowanych i mną osobiście, i tą ekipą, i tracących nadzieję. Albo też ludzi, którym te nadzieje płowieją.

No nie wspominałem o tym, ale to był czas, kiedy dorastały moje dzieci. Najstarsza córka Ania urodziła się w 1976 roku, Kasia w 1981, a bliźniaki w 1983 roku. To wszystko wtedy było kilkuletnie, czy kilkunastoletnie panny i wymagające wtedy najwięcej, najwięcej troski. Wszystko to, co kumulowało, czasami w takie nierozwiązywalne problemy, ale dzieci wychowaliśmy dobrze. Przeszedłem suchą nogą przez wszystkie pokusy, a ich było trochę, szczególnie w Urzędzie Wojewódzkim. Na przykład prywatyzacja, to znaczy pomysły na konkurencyjne albo prywatne linie telefoniczne.

**Wróćmy jeszcze do prac Senatu. Mnie zawsze interesuje to, jak to się stało, pomysł ustawy samorządowej, która nie była niczym efektownym, a spotkała się z tak ogromnym zainteresowaniem i zrozumieniem ze strony senatorów.**

Bo to, proszę pani, przemówiło do ludzi, których był cały legion, daleko liczniejszy niż zaciąg parlamentarny. To właściwie przypadek sprawił, że to ja właśnie wszedłem do Senatu, a nie mój konkurent w Komitecie Obywatelskim. A obok niego było jeszcze dwudziestu czy trzydziestu innych, którzy też nadstawiali karku w latach 80. i też mieli jakieś pomysły na to, jak Polskę naprawić. Ale i dla tych ludzi samorząd w tej formule, w jakiej odtwarzał go Regulski, to była szansa łatwo zrozumiana i bardzo szybko wykorzystana. Na żadnym polu tak szybko nie udało się zmienić państwa jak na tym, jak na samorządowym. Więc też ta szybka efektywność tej ustawy, tej zmiany ustrojowej, decydowała wtedy o tym, że choć idea była tak mało efektowna, od razu została przyjęta i wcielona w życie. I dzisiaj decyduje o tym, że się ją spośród innych ustaw tak wyróżnia.

**Wspomniał Pan też o tym, że Senat pierwszej kadencji to było 100 osobowości. Wyróżniłby Pan kogoś szczególnie?**

Tadeusz Ulma, Tadeusz Trelka zostali moimi przyjaciółmi. Ten pierwszy już nie żyje. Z Onyszkiewiczem poprawne relacje mnie łączyły. Natomiast polubiłem bardzo, z pewną wzajemnością, szanując tą proporcję i zważając na różnicę wieku, Andrzeja Szczepkowskiego. To z nim byłem na tym I Kongresie Polaków z Ukrainy w Kijowie i we Lwowie. No potem od czasu do czasu się z nim spotykałem. Znacie państwo jego słóweczka? To koniecznie musicie poznać. Za chwilę, jak skończymy, to odszukam. Zresztą wyjąłem to gdzieś tutaj powinno być wśród tych książek. Był człowiekiem dowcipnym, trzeźwo myślącym, umiejącym rozróżnić bardzo szybko, czy ktoś gra, czy jest uczciwy, czy jest

szczerzy. Miał ten dar rozpoznawania ludzi. No i talent fraszkopisarza, autora limeryków no najprzedniejszych. Andrzej Szczepkowski słynął z tego, że rozbawiał senatorów w kularach.

**Pewnie niektóre może Pan zacytować?**

Ale nie pamiętam już tak z głowy. Chociaż pamiętam taką rozmowę starszych panów, może tylko na Szczepkowskim pozostaną jako uczestniku, którzy się zachwycali urodą co młodszych pracownic Biura Obsługi Kancelarii Senatu. Ponieważ wszyscy oni byli profesorami różnych uczelni, Szczepkowski palnął im taką oto fraszkę. „Próżno swe wdzięki odslania i spojrzenia śle i te wyzywające i te niby nieśmiałe. Bo ty jeszcze możesz postawić jej pałę, a ona tobie już nie”. I to adresował do swojego adwersarza.

**Nie zdradzi Pan, kto to był?**

Nie. Wracaliśmy z tego Kijowa i we Lwowie okazało się, że musimy czekać na samolot dłuższą chwilę, więc nas przygarnął wówczas dyrektor tej bazy Energopolu we Lwowie, Bobrowski. On zaczął odgruzowywanie i odnowę cementarza Orląt Lwowskich. No nie powiem, że myśmy tam pili tylko herbatę u niego w tej bazie. I kiedy już troszeczkę w siebie różnych trunków wleliśmy i się atmosfera stawała coraz bardziej koleżeńska, Andrzej Szczepkowski mi powiedział „Jasiu, żadna wódka, żadne baby, wnuczka to jest sam smak życia”. Takich postaci oczywiście było wiele. Oczywiście Stelmachowski to nie wtedy, ale później z tą swoją lagą. Człowiek z charakterem. No, z kobiet to Anna Radziwiłł czy Alicja Grześkowiak też, bardzo charakterne niewiasty.

**Jak się ta charakterność przejawiała?**

U Anny Radziwiłł to był dystans, ale ciepły, ale nieprzekraczalny dla wszelkiej łobuzerii politycznej. U Alicji Grześkowiak zapął i konsekwencja w postawieniu na swoim. W debatach była bezlitosna. Doświadczyła tego między innymi Zofia Kuratowska. Ja byłem świadkiem akurat rozmowy między nimi. Ale i ona, i Zofia Kuratowska, i wielu innych to byli właśnie ludzie wielkiego formatu. Ludzie, którzy wnosili niebanalne doświadczenie życiowe i zawodowe, przekonanie niezłomne. I to, czego potem nie można było w takim natężeniu spotkać, czyli wolę polityczną dokonywania zmian.

**A jak się współpracowało w takim gronie, w którym każdy miał taki mocny charakter?**

Trudno. W Komisji Kultury panowała atmosfera, że tak powiem, pewnej dowolności. W Komisji Emigracji i Spraw Polaków Zagranicą - atmosfera pewnej misyjności. To sprzyjało niwelowaniu czy ucieraniu różnic w tej nadzwyczajnej komisji Łączkowskiego, przewodniczącego. Jego wiedza, jego determinacja były wystarczającym powodem, dla którego myśmy się podporządkowali. Więc nie było najgorzej. Jak był cel wyraźny, to się ulegało, to się po prostu temperowało własne widzimisię i słuchało tych ludzi, którzy byli mądrzejsi. Kiedy są duże cele, to można i wśród wielkich ludzi znaleźć zrozumienie dla racji innych posłów, nawet umiejętność podporządkowania się, współpracy efektywnej.

**To w sferze politycznej, a w takiej sferze międzyludzkiej? Państwo się lubiliście? To była przyjazna atmosfera?**

Tak, choć nie ze wszystkimi. Już co nie co wiemy o przeszłości Szczypiorskiego. I dla mnie początkowo dystans, z jakim go traktował na przykład Szczepkowski, był niezrozumiały. Potem dopiero pojąłem, kiedy się dowiedziałem o tym, o czym oni już wiedzieli, że to był jegomość, który donosił na własnego ojca. No dziś wiadomo, że wśród tych 100 było kilku z nie do końca wyczyszczoną przeszłością. Ta wiedza nie była powszechna, więc nie rozumiało się pewnych uwag, pewnego dystansu, ale generalnie wszyscy ci ludzie trzymali fason i reprezentowali taką kindersztubę, poprawność taką obyczajową, że było nawet przyjemnością się z kimś nie zgodzić, czy na niezgode czyjaś się narazić.

**Od początków istnienia Senatu taką szczególną rolą senatorów stała się troska senatorów o Polaków mieszkających zagranicą, o polską emigrację. Pracował Pan w komisji, która się tym zajmowała. Wyjeżdżał Pan na Ukrainę i sprawy ukraińskie są też**

**z racji miejsca zamieszkania są dla Pana bliskie. Coś ważnego w związku z tą sprawą, o czym powinniśmy wspomnieć?**

Po pierwsze, żadna emigracja, żadna repatriacja. To była ekspatriacja po prostu, to było wygnanie. Ci, którzy zostali zmuszeni swoją polskość, ukrywać się. Zresztą dzisiaj to wraca. To, co się w tej chwili daje zauważyć na Ukrainie, ten renesans nacjonalizmu spod znaku Dymitrija Doncowa, jest bardzo niebezpiecznym zjawiskiem. Jest to wychowanek uniwersytetów niemieckich. Tam zafascynowała go ta idea darwinizmu społecznego. Ale darwinizm został odrzucony w humanistyce europejskiej kilkadziesiąt lat temu. Tutaj wraca w najczystszej postaci. Jeszcze można mieć nadzieję, że jeśli Ukraińcy kiedyś przeżyją swój przełom antypozytywistyczny. Ale znajduje ten ruch prymitywny, bo tak to trzeba powiedzieć, wsparcie w klerze unickim i przekształca się w coś w rodzaju... religii to za wiele powiedziane, ale ma takie mocne parareligijne uzasadnienie. W oczywisty sposób jest to pogańskie, prawda, bo przebóstwienie narodu i państwa nie ma nic wspólnego z chrześcijaństwem, więc patrzę na to, co się dzisiaj dzieje na Ukrainie, przez pryzmat bardziej tych mnożących się jak grzyby po deszczu pomników Bandery czy Konowalca czy podobnych zbrodniarzy z UPA, niż na te deklaracje polityczne. Przyszłość będzie raczej zależeć od tego, na ile między Polakami i Ukraińcami pod ową polityczną sztukaterią, dojdzie do porozumienia. W próbach porozumiewania się uczestniczę od lat. Już wtedy i dzisiaj także, choćby w tej inicjatywie dialogu dwóch kultur pod szyldem Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej i Muzeum Słowackiego w Krzemieńcu. Także z Ukraińcami da się rozmawiać szczerze, ale niestety, ta część inteligencji, która rozumie nasze obawy i rozumie niebezpieczeństwo zaszczepienia tą odżywiającą ideologią nacjonalizmu właśnie spod znaku darwinizmu społecznego, jest mniejszość. Większość nawet może, że nie to, że nie przyklaskuje temu, ale akceptuje to.

**Wróćmy do spraw Polaków na wschodzie w 1989, 1990 roku. Spotykał się Pan z Polakami na Ukrainie, ale nie tylko, prawda? Także w innych krajach, które odzyskiwały niepodległość za naszą wschodnią granicą. To było ważne. Miał Pan takie poczucie misji wtedy?**

Ani chybi. Oni potrzebowali tego. To, co w ramach wspólnoty polskiej zrobił Stelmachowski, co po nim kontynuował Płażyński, to jest dzieło nie do przelicytowania. Ale moje doświadczenia, znaczy w mojej pamięci zachowują się raczej, to doznanie rozczarowania albo obrazy, które bym najchętniej wyrzucił z pamięci. Byłem w jednym z krajów bałtyckich, nie wspomnę w którym, i prowadziłem rozmowę z rdzennymi mieszkańcami tego kraju. „Przecież odnawiając w tym kształcie osobowym tę polonijną, tą polską wspólnotę, musicie zdawać sobie sprawę - mówili - że to są w znacznej mierze agenci KGB". I co z taką prawdą zrobić? Albo właśnie to, że na Ukrainie muszą ukrywać swoją polskość, bo ten, ten, ten i czwarty sąsiad to są ludzie, którzy nadal tej ideologii Doncowa hołdują.

Ciekawe doświadczenie z konferencji, której współorganizatorem była Polska Akademia Nauk, a głównym była organizatorem była Akademia jeszcze Związku Radzieckiego w Kazaniu, konferencja o udziale Polaków w rozwoju humanistyki rosyjskiej, w Kazaniu, który jak wiecie, był punktem etapowym sybirskiego szlaku, gdzie wielu znakomitym Polakom udało się zostać na dłużej niż na odpoczynek etapowy, między innymi profesor Zieliński, ten specjalista od antyku, czy twórca sławistyki rosyjskiej. Zjechało się tam tych historyków około sześćdziesięciu, od Leningradu jeszcze po Odessę i Nowosybirsk. Sześćdziesiąt referatów i okazuje się, że nie ma miejsca akademickiego miejsca w Rosji, w którym by Polacy nie odcisnęli jakiegoś swojego stempla dobrego. To jest takie budujące, przykład kontra tych niebudujących. I ani chybi trzeba prowadzić politykę zachowywania tego, co się daje zachować z przeszłości.

Skandalem jest też to, że po tylu latach starań nadal to Muzeum Kresów nie może się zmaterializować, gdzie Niemcy na przykład mają osiemnaście takich tylko w odniesieniu do

ziem wschodnich, a dzisiejszej Polski zachodniej. Doświadczenie moje jest takie, że teren jest rozpoznany, wiadomo gdzie i czego Polakom potrzeba. Tym potrzebom materialnym, edukacyjnym staramy się jakoś sprostać poprzez Wspólnotę Polską, czy Fundację Pomoc Polakom na Wschodzie, czy podobne inicjatywy. Ale to jest znacznie za mało, niż zrobić by było trzeba. I coraz jest mniej ludzi formatu Stelmachowskiego czy Płażyńskiego, którzy rozumieją to, ogarniają i próbują tej wielkości tej potrzeby, czy wielkości tego Mickiewiczowskiego wezwania sprostać. Mówię o tym wezwaniu „jeśli bym o nich zapomniał, to niech Bóg zapomni o mnie”. To tyle może.

**Pierwsza kadencja skończyła się szybciej, niż się Państwo spodziewaliście. Pan zdecydował się kandydować kolejny raz w wyborach. Został Pan także senatorem II kadencji. Dlaczego?**

Było to oczywiście, że kadencja została przerwana wbrew woli większości parlamentarzystów, choć głosowanie przyniosło to, co przyniosło. Ci, którzy głosowali za odwołaniem rządu Suchockiej, przepraszam, to było w pierwszej czy drugiej kadencji, bo mi się to już miesza? Pomyliłem tutaj, bo obie kadencje były skrócone przecież. Tą drugą traktowałem przecież jako przedłużenie pierwszej i żeby chociażby dokończyć prace podjęte, dlatego zdecydowałem się po raz drugi, no a potem wyborcy stracili już cierpliwość.

**A Pan żałuje, że wyborcy stracili cierpliwość?**

Dziś nie, dziś nie. Wróciłem na swoje polonistyczne okolice, na swoje podwórko, zrobiłem doktorat, obroniłem pracę doktorską, uczyć tego, czego chcę, i niczego mi nie trzeba.

A polityki, w takim wykonaniu jak wtedy już się na to zanosilo, a potem się to wyklarowało, czyli cynicznej gry i cynizmu jako składowego elementu bycia politykiem, klientelizmu, który bardzo szybko jak rak przyssał się i do naszego obozu politycznego, tego na pewno nie żałuję. To, że z polityki odszedłem, to między innymi dlatego, że nie mogłem się przełamać, bo przecież poza parlamentem byłem prezesem poważnego wydawnictwa prasowego regionalnego, a potem prezesem PAJ-u. No bardzo trudno było zachować się uczciwie, a kto chciał, musiał odchodzić.

**Jak Pan ocenia pierwszą kadencję Senatu w porównaniu z następnymi?**

Pierwszą z drugą to mogę porównywać. Ani chybi już druga była bardziej zgaszona, więcej było kalkulacji politycznej niż w pierwszej. Z takim większym sentymentem tą pierwszą wspominam. Ta druga to już borykanie się z problemami, z ludźmi i z samym sobą. Wiec jeżeli mogę sobie pozwolić na ocenę, to gorzej tą drugą widzę niż pierwszą, a późniejsze znam już tylko z zewnętrznych oglądów i świadectw, więc nie mogę się tutaj tak autorytatywnie wypowiadać.

**Czy jest coś jeszcze w historii pierwszej kadencji Senatu, o czym nie wspomnieliśmy?**

Nie przychodzi mi zbyt wiele do głowy.

**A dobrze, że reaktywowano Senat ?**

Ani chybi, choćby dla symboliki pewnej należało to uczynić. Ludzie, którzy weszli do Senatu pierwszej kadencji potwierdzili tą zasadność, tej politycznej, pierwiastkowej, która o przywróceniu Senatu zdecydowała, kalkulacji czy decyzji. W procesie legislacyjnym, przy założeniu, że posłowie mają dość wiedzy, by się uporać z materią ustawową, może i Senat nie jest najpotrzebniejszą instytucją, ale ponieważ wiemy, że takiego stanu jeszcze nie mamy, ta funkcja kontrolna Senatu jest nadal wskazana. No i nadal owa symbolika nawiązująca do pierwszej i drugiej Rzeczypospolitej jest dla obecnego Państwa ważna. Nie powinno się zrywać z tamtą tradycją, nawet jeśli koturnowe instytucje się dzięki temu przechowuje.

**Dziękujemy bardzo za rozmowę.**

Bardzo proszę.